

Edward Kajdański, *Wspomnienia z mojej Atlantydy*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2013, ss. 530¹

O tym, że Polaków rzuca po świecie, wiemy od dawna. Dzisiaj, w dobie globalizacji, to nic dziwnego. Ale dziwne przypadki kierowały – bywało – naszymi poprzednikami. Jeden z takich epizodów, mało w Polsce znany i zapoznany, przedstawia senior (ur. 1925) naszych badaczy Chin, Edward Kajdański.

W swojej ostatniej, niezwykle osobistej książce nakreślił najszerszą dostępną panoramę środowiska zwanego popularnie „harbińczykami”.

Otóż losy wielu z nich ułożyły się tak, że trafili na budowaną przez Rosję pod koniec XIX stulecia Kolej Wschodniochińską, będącą przedłużeniem transsyberyjskiej, jako inżynierowie czy robotnicy. Wiemy, jak tam trafili. Poddani cara, dobrowolnie lub nie, pracowali przy budowie i obsłudze. Ich lojalność wobec pracodawcy zawsze była – co nie dziwi – w jego oczach podejrzana. Zaskakujące jest natomiast, że wielu z nich postanowiło nie wracać... i zostać w Chinach. Swego rodzaju schronienie znaleźli na północy chińskiego cesarstwa, w krainie zwanej przez Chińczyków *Dongbei* (północny-wschód), a powszechnie znanej jako Mandżuria. To w Dongbei, w mieście Harbin, wcześniej pisanym też przez „ch” (Charbin), ukształtowała się przed I wojną światową poważna kolonia polska, szacowana

przez niektórych badaczy nawet na 7 tys. osób. Kajdański żadnych liczb nie podaje, można natomiast znaleźć u niego dane, że według spisu sprzed II wojny światowej żyło tam 1519 obywateli polskich (s. 231). Dodatkowo kilkuset Polaków zamieszkiwało wówczas w dużych portowych miastach, przede wszystkim w Szanghaju oraz Tianjinie (Tiencinie).

Autor wymienia liczbę obywateli, a więc ludzi o polskich paszportach. Ilu było wtedy Polaków w ogóle – trudno powiedzieć. Część z nich wyjechała, w kilku transzach, tuż po zakończeniu I wojny światowej, gdy ojczyzna wzywała, o czym Autor wspomina, choć się nie rozwodzi na ten temat. Kieruje się bowiem w całym tomie, będącym osobistym, rodzinnym wspomnieniem, najpierw losami ojca (którego przedstawia z niezwykłą czcią) i matki, a potem własnymi – aż do momentu opuszczenia owej „Atlantydy” w roku 1951.

Choć Kajdański podchodzi do przedmiotu swego opisu z istic inżynierską precyzją, bo też inżynierem jest z wykształcenia, książkę należy traktować jako pamiętnik, a nie pracę analityczną. Jest tak, mimo że sam Autor przyznaje, iż idąc w ślady ojca, chciał, by wszystko, co wychodzi z jego rąk, „nosiło znamiona perfekcji, o jakiej później marzyłem, chcąc mu [ojcu – B.G.] dorównać” i hojnie wykorzystuje bogate rodzinne archiwum (jak przechowane?). Powstała dzięki temu prawdziwa saga rodzinna, ułożona w egzotycznym miejscu i czasie, których dziś już nie ma, bo nie ma tam Polaków.

Ostatek naszych rodaków wyjechał bowiem z Harbinu, a raczej był zmuszony wyjechać, podczas niesławnej „rewo-

¹ Tekst recenzji pierwotnie ukazał się w miesięczniku „Nowe Książki” 2014, nr 2.

lucji kulturalnej” (1966–1976), o czym Kajdański, skoncentrowany na losach swoich i swoich bliskich, niestety już nie wspomina. Swoistą zaś klamrą tej historii byłoby wspomnienie, że po maoistowskiej „rewolucji” pozostał w Harbinie tylko jeden jedyny Polak, Leon Stokalski (ur. w Harbinie w 1916 r.), pragnący „trzymać światelko umierającej polskości”, jak sam powiadał. I on jednak opuścił to miasto 10 grudnia 1993 r., kiedy to wrócił do Polski, gdzie wkrótce zmarł.

Wcześniej wymarło w Harbinie właściwie całe polskie wychodźstwo, które w czasach swego rozkwitu zbudowało tam prawdziwą wyspę polskości. Składały się na nią m.in. tak ważne instytucje, jak Dom Polski (wcześniej Gospoda Polska), Gimnazjum Polskie im. Henryka Sienkiewicza (do którego uczęszczał Autor) oraz dwa katolickie kościoły – św. Stanisława i drewniany św. Józefa. Ten ostatni w 1966 r. został rozebrany przez bojowych chińskich czerwonostrawców, podobnie jak prawosławny sobór św. Mikołaja.

Edward Kajdański, idąc tropem swego drzewa genealogicznego, próbuje, niczym ostatni Mohikanin, zachować w pamięci dla przyszłych pokoleń świat, jaki widział, w jakim dorastał i kształtował się. Ten skrupulatny, czasami wręcz zegarmistrzowski w swej dokładności opis jest prawdziwą cnotą tego przedsięwzięcia. Niedosyt natomiast może budzić brak szerszej perspektywy czy rozważań analitycznych. Świat chiński pojawia się na tych stronach raczej jako nieco odległe i zawsze egzotyczne tło, podczas gdy „polski Harbin” był tylko maleńką enklawą w chińskim morzu.

Z nie do końca jasnych przyczyn (może dlatego, że zarówno jego matka, która jednak opuściła Harbin wraz z nim w 1951 r., jak i żona są Rosjankami) Autor nie dopowiada, iż w istocie ówczesny Harbin był miastem nade wszystko rosyjskim – z wystroju, architektury, stylu życia. Podczas gdy Polaków było tam najwyżej kilka tysięcy, ludność rosyjską w okresie szczytowego rozkwitu miasta w ramach Imperium Rosyjskiego szacowano na 100 tys. osób.

Jednak nie tylko Rosjanie czy Polacy mieszkali w Harbinie. Co chwila ze skrupulatnych notatek Kajdańskiego wylania się zarys istnej wieży Babel. Na przykład gdy pisze: „Na wschodnim krańcu Wielkiego Prospektu [główniej alei miasta – B.G.] znajdowały się cmentarze różnych wyznań – prawosławny, katolicki, protestancki, muzułmański i żydowski”. Tam, gdzie są cmentarze, są i ludzie tworzący własne społeczności. O tym, jak różnorodna była tamtejsza etniczna i kulturowa mozaika, świadczy też fakt, że w mieście, mocno przecież prowincjonalnym z punktu widzenia Chin, funkcjonowało wówczas aż 16 konsulatów (polski powstał w 1929 r.).

Chwała Autorowi, że tę swoją „Atlantyde” opisał. Nikt prócz niego nie mógłby już tego zrobić. Harbińczyków były tysiące, wśród nich dziennikarze czy pisarze, jak Teodor Parnicki, ale tylko Edward Kajdański poświęcił ich sprawie wiele swego życia i wysiłku. Dzięki niemu jedyne w swoim rodzaju polskie wychodźstwo na terenie Chin zyskało dobre i pozytywne świadectwo.

Bogdan Góralczyk